



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

SPRAWOZDANIE KAZIA

Z ZADANIA KONKURSOWEGO.

stawiam najpierw dwa wypracowania panienek, zdaje się, że do tego przynajmniej mam prawo, aby pći pięknej pierwszeństwo pozostawić.

Odpowiedź 15-letniej Brzózki srebrnej.

Ponieważ historia nasza ma tyle wzorów szlachetnej dumy i pięknych czynów, więc sądzę, iż najodpowiedniej jest dla nas czerpać z niej przykłady.

Stefan Czarniecki okazał się szlachetnie dumny, gdy pokazując blizny, mawiał: „Ja nie z soli, ani z roli, ale z tego co mnie boli urosłem”. Okazywał on przez to, że sławę swoją nie rodowi winien, lecz własnej zasłudze. Ale niestety i zléj dumy mamy też przykładów niemało. Kazanowski, rotmistrz pod Chodkiewiczem, ufny w swój ród i łaskę Władysława IV, pomimo prawa zabraniającego nosić buzdycan w obecności hetmana, rozkazał, aby go niesiono przed nim. Chodkiewicz rozgniewany cisnął nań buławą i po czapce zachwyił.

Jakże to często spotykamy ludzi, pyszniących się ze swego rodu i przodków bez własnej zasługi, a patrząc na nich, mimowoli przychodzi na myśl ten osieł z bajki Morawskiego, któremu lis tak dobrze odpowiada:

Jakżeś nierozsądny,
Zawsze swoich chwalisz przodków:
I ty nie jesteś z wyrodków,
I z ciebie osieł porządny.

statnie moje zadanie: „w jakim razie duma jest uczuciem szlachetnym, a w jakim razie zdrożnym”, podobało się widocznie, nadeszło mnóstwo odpowiedzi, z czego jestem szlachetnie dumny. Wybór był bardzo trudny, jak zwykle, napociłem się niemało, nim to wszystko przewertowałem, a nadewszystko, nim z tylu dobrych wypracowań wybrałem najlepsze. Przytém skrepowany byłem bardzo postanowieniem redakcyi, ażeby z czterech wypracowań, przedstawionych do nagrody,



dwa było tylko pisanych przez panienki, a dwa przez kolegów chłopców. Oskarżono mnie bowiem przed redakcją, ach, tak! Znaleźli się koledzy, którzy mi zarzucali, że jestem stronny dla panienek. I cóż ztąd? Gdyby nawet tak było?.. Ale widocznie minęły już czasy rycerskie!... Tymczasem dajmy pokój tym żalom i przystępujemy do rzeczy. Przed-

Szanowna Brzózka srebrna chciała podobno zmistyfikować naszą redakcją, gdyż nie wypisała prawdziwego nazwiska na wypracowaniu, i dopiero gdy jej nagrodę przysądziłem, zaczęła z trudem szukać pomiędzy listami tego nazwiska i adresu. I otóż pokazało się, że Brzózka srebrna jest dawną korespondentką, która już brała nagrody, a teraz ukryła się pod nowym pseudonimem, aby nas troszkę zaintrygować. Po nitce jednak doszliśmy do kłębka. Brzózce srebrnej przesyłam książeczkę do notatek.

Odpowiedź 14-letniej Maliny z Siedlec.

Będąc na wieczorku u jednej z moich krewnych, zaznał się z pewną panią, która odstręczała od siebie wszystkich obejściem pełnym dumy i pogardliwości. Rozmawiała z temi tylko paniąkami, które były córkami bogatych rodziców, i pięknie ubrane. Niepodołała mi się ta paniąka od pierwszego wejrzenia, i zaraz pomyślałam sobie, że może służyć za przykład do zadania konkursowego. Czyż w takim razie duma jest uzasadniona? Czyż to jest jej zasługa, że posiada strojne sukienki? i czyż wreszcie samo tylko posiadanie majątku stanowi wartość człowieka? A więc czyż duma jej była szlachetna?

W czasie mego dłuższego w Warszawie pobytu widywałam często kalekę bez nogi, z krzyżem legii honorowej na piersiach, który zwykle przed domem naszym rąbał drzewo lokatorów. Wolał on w tak ciężki sposób zarabiać na życie, a może i na utrzymanie licznej rodziny, niż swoim kalectwem wyzyskiwać miłosierdzie publiczne. W tym więc razie duma była chwalebna i zasługująca na prawdziwe uznanie.

Malinie z Siedlec ofiaruję fotografią z obrazu Kossaka, przedstawiającą Stefana Czarnieckiego.

Odpowiedź 13 letniego Wilczyska.

Według mnie dwa są rodzaje dumy: duma dobrze zrozumiana, poczucie własnej godności, które broni od poniżenia się, i duma źle zrozumiana, coś jakby pycha. Pierwszy rodzaj dumy jest chwalebny, a drugi zdrożny. Np. ileż to ludzi można spotkać, których interesa nie pozwalają na trzymanie licznej służby, na zbytki rozmaite, ale którzy „nie poniżyliby się” przez fałszywą dumę, pracę, lub poprzestaniem na małym, choć czynią się przez to wstrętnymi i śmiesznymi w oczach ludzi, rozumiejących godność osobistą. Znowuż człowiek, który woli cierpieć biedę i idące za nią różne przykrości, niż wydobyć się z niej uniżeniem lub nikczemnym pochlebstwem, jest godzien pochwały. A i ja naprzykład, czytając wymówki, czynione innym korespondentom za posługiwanie się cudzą pracą, jestem dumny, że do mnie one nie mogą się stosować, ponieważ odpowiedzi na zadania muszą zawsze zupełnie sam pisać, (o co, co prawda, nieraz byłem trochę zły). Czyż taką dumę może mi kto wziąć za złe?

Kolega Wilczysko donosił niedawno, że mu się przypadkowym jakimś sposobem zniszczył notesik, poprzednio otrzymany odemnie. Bardzo rad jestem, że mogę mu tę stratę wynagrodzić i drugi podobny przesłać.

Odpowiedź Dzieciątka.

Przykład dumy szlachetnej jest następujący: Kornelia, matka Gracchów. Około roku 120 przed Chrystusem, żyła w Rzymie córka Scypiona afrykańskiego, Kornelia. Wysłała

ona za Semproniusza, lecz niedługo Semproniusz umarł, a Kornelia została wdową z dwoma synami Kajusem i Tyberyuszem. Pewnego dnia przyszła do niej bardzo bogata jej przyjaciółka. W rozmowie zaczęła pysznić się swoimi bogactwami i klejnotami, potem prosiła Kornelię o pokazanie swoich. Wtedy Kornelia zaprowadziła ją do dziecinnego pokoju, gdzie podniosła dotąd zakrytą kotarę i ze szlachetną dumą rzekła, wskazując na śpiących Kajusa i Tyberyusza: „oto są moje klejnoty”.

Przykład dumy zdrożnej następujący: Wyzwanie mistrza krzyżackiego na wojnę z Jagiełłą. W 1410 roku po narodzeniu Chrystusa, mistrz krzyżacki w wigilię bitwy pod Grünwaldem przysłał dwa miecze Jagielle i Witoldowi, mówiąc przytém: „Przysłałam wam te dwa miecze, żebyście mieli się czém bronić”. Przysłał on te miecze na znak pogardy. Jagiełło i Witold przyjęli je bez żadnej obrazy, a duma mistrza krzyżackiego była skarana, gdyż na drugi dzień w bitwie pod Grünwaldem został haniebnie pobity.

Koledze Dzieciątka, który zapomniał lat swoich wymienić, przesyłam fotografią, wizerunek Jana Śniadeckiego.

Oprócz tego, nadesłano jeszcze bardzo dobrych wypracowań niemało, wszystkich, niestety! nagrodzić niepodobna, muszę tu jednak wyliczyć te, które na odznaczenie zasługują; pseudonimy spisuję, nie według wartości wypracowania, lecz według porządku alfabetycznego. 13 letnia Aurykla — 11-0 letnia Białorusinka — 12 letnia Chmurka — 11 letnia Czarulka — 12 letni Gołąb z nad Warty — 13 letnia Gwiazdka z Czerwonej Rusi — 12 letni Jaguar — 13 letnia Konwalia z Siedlec — 11 letnia Kuropatwa z nad Ikopetiu — 12 letnia Litwinka z nad Bałtyku — 13 letnia Niezapominajka z nad Grabówki — 12 letnia Noc świętojańska — 14 letnia Wiochna z pod Lublina — 14 letnia Wisienka — 12 letnia Żydówka.

Długi ten regestr dostatecznym jest dowodem, że konkurs świetnie się udał, za co wszystkim, którzy doń należeli, składam tysiączne dzięki. Teraz nic mi nie pozostaje, tylko obmyśleć nowe zadanie. Oj! niełatwy to orzech do zgryzienia. Trzeba jednak coś wykonywać, niema rady. Raz, dwa, trzy... niechże będzie przysłowie, dawnośmy już przysłowia nie mieli, ot takie np. „Ziarno do ziarnka, a będzie miarka”. Wybrać jakiś przykład ze zdarzenia prawdziwego, który słuszność tego przysłowia potwierdza, opowiedzieć to treściwie, jasno, niezbyt rozwlekle. Odpowiedzi będą przyjmowane do 10 Marca. Przy wypracowaniu trzeba koniecznie dodać imię, nazwisko, liczbę lat, adres dokładny, oraz pseudonim do druku. Najlepsze odpowiedzi będą wydrukowane i nagrodzone.

Polecam się życzliwości czytelniczek i czytelników
Serdeczny przyjaciel

Kazio.

SIEROTKA.

Została sierotka sama jedna w świecie,
Bez ojca i matki, biedne, biedne dziecię!
Litościwi ludzie wzięli ją do siebie,
Pamiętali zawsze o każdej potrzebie.
Ale sieroteńka, choć ładnie ubrana,
Zawsze była smutna, zawsze zadumana.

— Powiedz mi, kochanie — opiekunka spyta,
 — Czemu na twój twarzy ta boleść wryta;
 Czemu z modrych ocząt często łezki płyną,
 Czy ci źle na świecie, o! powiedz, dziecino?
 Powiedz, czego pragniesz, postaram się o to,
 Dam wszystko, co zechcesz, z największą ochotą.
 — O Boże! mój Boże! — sierotka odpowie,
 I łezki polyka przy każdym swém słowie,
 — Któż da mi matkę, co w grobie złożona,
 Co mnie tak serdecznie tuliła do łona,
 Któż ojca sierocie powrócić jest w stanie?
 O! wszystkie dostatki i strojne ubranie,
 Chętniebym oddała za nędzną chatę,
 By tylko mieć ojca i dobrą matkę!
 — O! słuszną twa żalność, dziecino nieboże,
 Życzenia twój nikt spełnić nie może,
 A czułe pieczyoty ojczulka i matki,
 Milsze są dla dzieci nad wszelkie dostatki.
 Lecz pomnij, że przecie Bóg dobry na niebie
 Jest ojcem dla sierot i w każdej potrzebie
 Dopomóż jest w mocy, pocieszyć jest w stanie,
 O, módl się do Niego, módl często, kochanie!

Helena Bojarska.

PRAWDZIWE BOGACTWO.

POWIEŚĆ

przez autorkę **Reginki.**

(Dalszy ciąg).

— Ja wszystkich kocham — mówił Kazio — babunię i matkę, i Figielka i wujcia, i wszystkich.

— Któż psiaka miesza do rodziny — rzekła Jadwinia.

Chłopczyk zaczerwienił się, już miał się obrazić, ale opamiętał się, i rzekł z uśmiechem:

— Nie obrażę się na Jadwinię, że Figielka nazwała psiakiem, bo ją kocham, bo ona moja rodzina.

Wejście pani Krystyny przerwało rozmowę.

Dzieci spojrzały badawczo na matkę, istotnie w jej oczach były ślady łez, a na twarzy malowało się wielkie wzruszenie, które siłą woli pokryć chciała. Żadne jednak nie wymówiło ani słowa zapytania, wszystkie milczały, i matka poznała, że są widocznie zakłopotane. Spojrzała na babunię, i uśmiechnęła się uspokajająco, a zwracając się do dzieci, rzekła:

— Cóż macie takie minki zafrasowane? czy się nie cieszyście, że siostry jutro z Warszawy wrócą?

— O! cieszymy się bardzo — zawołały dzieci wszystkie razem — bardzo się cieszymy, tak dawno nie widzieliśmy Hani i Tereni.

— Czy siostrzyczki już nie pojedą do Warszawy? — za pytała Ewcia.

— Już nie pojedą, na tak długo — odpowiedziała matka — chyba za jakim interesem, na dzień lub dwa.

— Czy matka sama pojedzie po Hanię i Terenię? — zapytała Jadwinia.

— Nie, wujcio dziś jeszcze pojedzie, przenocuje tam, a jutro przyjadą wszyscy — odpowiedziała p. Krystyna.

— Chwała Bogu! — mówiła Ewcia, klaszcząc w ręce — tak się cieszę, jakby mi kto cały świat darował.

Po obiedzie p. Kazimierz odjechał, poleciwszy w pierw opiekie Kazia Figielka, prosząc go z uśmiechem, aby o nim pamiętał, co malec wziął zupełnie seryo, i przyrzekł, że Figielka będzie pilnował, jak oka w głowie. Wywiązywał się z tego tak sumiennie, że żadna niańka troskliwiej od niego nie czuwa nad dzieckiem powierzonym jej opiece.

Przed wieczorem p. Krystyna, zaprowadziwszy babunię

do pokoju wujaszka, miała z nią długą, bardzo długą rozmowę, po której babunia była zamyślona i smutna, a przy kolacji tak się zadumała głęboko, że Kazio ze trzy razy o coś pytał, zanim otrzymał odpowiedź.

Dzień następny był bardzo ożywiony, dzieci krzątały się od rana, porządkowały, ścierały kurze, biegały na trawnik uzbrowione w gałazki, aby bronić wejścia uprzykrzonym prosiętom, które nie mogły nigdy tego zrozumieć, że im tam chodzić nie wolno. Ewcia kilku czubatym kurkom zawiązała czerwone tasiemeczki na szyjkach, chociaż babunia ostrzegła, że kurka udusić się może, jeżeli zawadzi nóżką o tasiemkę, drapiąc się po łebku. Po przyjeździe Hani, ozdoby te miały się zdjąć, a do przyjazdu siostry, Ewcia postanowiła czuwać nad czubatkami, aby sobie nie złego nie zrobiły.

Kazio raz po raz wybiegał za bramę wyglądać, czy już nie jadą, i wracał ze smutną miną, oświadczać, że ani myślał widać przyjechać.

Południe się zbliżało, już i babunia i matka zaczęły wyglądać niespokojnie, a oczekiwanych jak niema tak niema.

Z obiadem się spóźniono umyślnie, ale już i kucharka niecierpliwie się zaczęła, bo kurczęta, upieczone na przybycie kochanych panienek, wyschną zupełnie, zupa się przestoi, i nietylko, że sława kucharska poczciwej Magdusi przepadnie, ale panienki będą głodne w dodatku. Nareszcie Figielek zaczął nastawiać uszu, rzucił się do drzwi otwartych właśnie w tej chwili, i pędem strząły wybiegł za bramę. Teraz wszyscy byli pewni, że wujaszek już blisko, pies zawsze przeczuł zbliżanie się pana. Jakoż istotnie w chwil kilka witano się ze łzami radości i rozrzewnienia.

Cóż to było uciechy, co opowiadań bez końca, bo ktoś drugi zawsze miał rzecz pilniejszą do powiedzenia, przerywano sobie, śmiano się i znów ściskano i całowano. Hania musiała iść z Ewcią oglądać kurki postrojone, Terenia, prowadzona przez Jadwinię, udała się pod lipę na trawnik, którym była prawdziwie zachwycona, zielenił się cały, nigdzie najmniejszego na nim nie było uszkodzenia.

Hanka, wróciwszy z Ewcią, zabrała w tej chwili klucze z koszyczka, przyniosła z szafy, co było potrzeba jeszcze do obiadu, przystawiła do stołu krzesło babuni, zajrzała do kuchni, wszędzie jej było pełno, zdawało się, że nie wyjeżdżała z domu, wróciwszy po dwóch latach niebytności, ani jednej godziny nie była gościem. Babunia, patrząc na nią, pokiwała głową, jakby powiedzieć chciała: „dasz ty sobie radę na świecie”, a zwróciwszy wzrok na wchodzącą w tej chwili Terenię, wysmukła i jak lilijka błądą, z wyrazem smętnego mimo radości uśmiechu, westchnęła cicho, i jakiś niepokój o ukochaną wnuczkę zrodził się w duszy sędziwej niewiasty. Terenia była trochę nieśmiała, nie miała tej pewnością siebie, jaką się odznaczała Hanka.

Pan Kazimierz chodził po pokoju, zacierał ręce, spoglądał z pod oka na siostrzenice, przyglądał im się bacznie, nie biorąc udziału w rozmowie. Terenia zbliżyła się do niego.

— Wujciu — szepnęła — widzę jakąś zmianę na twarzy mateńki, jest smutna i jakby zakłopotana.

— Czy istotnie zauważyłaś to? — zapytał p. Kazimierz.

— O, nie tylko to — odpowiedziała — widzę, że i ty wujciu nie jesteś takim, jak zawsze; już w Warszawie zauważyłam jakąś troskę skrytą, o której mówić nie chcesz; wujciu, ja się czegoś lękam.

— Lękasz się? — zapytał, stanąwszy przy oknie p. Kazimierz — czego? przecież widzisz wszystkich zdrowych, jesteśmy razem, nikogo nie zabrakło. Cóż cię więc trwoży, Tereniu?

— Jakieś niedobre przecucie — odpowiedziała cichym głosem — babunia ma taki wzrok smutny, a jak na mnie spogląda, zdaje się źy mieć w oczach.

— Przecucie, Tereniu, to mara dręcząca przedwcześnie, odbierająca spokój i siły — odpowiedział wuj poważnie. — Trwożyć się można, gdy widzimy i wiemy o tém, że nam grozi jakieś nieszczęście, ale nad przecuciem zapanować należy, bo życie nasze stałoby się pełne niepokoju w oczekiwaniu czegoś złego.

— A jednak... — szepnęła panienka, spuszczać oczy, i nie śmiejąc dokończyć zaczętego zdania.

— A jednak co, Tereniu? — zapytał wuj.

— Boję się czegoś — odpowiedziała.

W tej chwili weszła Hanka z dużym białym dzbankiem mleka, poprzedzana przez Ewcię, niosącą salaterkę napelnioną poziomkami. Dziewczynka opowiadała coś starszej siostrze z wielkim ożywieniem, a ta z uśmiechem zadowolenia i swobody słuchała małej szczebiotki.

— Patrz, Tereniu — rzekł p. Kazimierz — Hania nie trwoży się żadnymi przecuciami, i dla tego jest wesoła i szczęśliwa z powrotu do domu.

— O! i ja jestem szczęśliwa, że wróciłam do tego cichego, drogiego domku naszego — zawołała Terenia — ale cóż winna jestem temu, że przecuczuje każdy wasz smutek, każde zmartwienie?

— Znów przecucie — mówił z uśmiechem pan Kazimierz.

Hanka dosłyszała słów wuja, i zbliżając się, rzekła:

— Już pewnie złe przecucia dręczą Terenię, a doprawdy, mogłaby się przekonać do tego czasu, że niepotrzebnie tak się często niemi martwi. Gniewałam się o to nieraz na nią i w Warszawie, bo czasami sypiać nie mogła, męcząc się przecuciem złego, które dzięki Bogu nie ziściło się nigdy.

— Nie wierzysz, Hanko, w przecucia? — zapytał wuj.

— Ja nie daję im przystępu do siebie — odpowiedziała. — Jeżeli czasem jaki niepokój wkrada mi się do duszy, zabieram się czempredź do pracy, i myślę sobie: będzie zmartwienie, to go nie usunę kłopotaniem się przedwczesnym, z nieznanym walczyć trudno, zobaczymy, jak przyjdzie. Oby tylko, Boże broń, nie choroba ukochanych moich, to reszta fraszki.

(d. c. n).

DZIEWECZKA UKRAIŃSKA.

Strój narodowy ukraiński jest niezmiernie malowniczy, chociaż cały składa się z bardzo prostych i niekosztownych materiałów, po większej części domowej roboty. Dziewczyna, przedstawiona na naszej rycinie, ma na sobie koszulę z szerokimi rękawami, wyszywanemi u góry czerwoną i błękitną bawełną. Ta ozdoba nazywa się *połyki*. W miejscu spodnicy, ma rodzaj chusty z grubej tkaniny wełnianej czarnej, bez żadnych fałd lub zmarszczek, którą się cała owija, przytwierdzając ją do kibici czerwonym zazwyczaj pasem. Ubiór ten zowie się *zapaską*. Na szyi dziewczyna ta ma mnóstwo koralu i innych paciorków różnokolorowych, a na głowie od święta nosi tak zwaną *kiczkę*. Jest to rodzaj dyademu z twardej tektury, ozsyty kolorową szmatką i najrozmaitszemi błyskotkami ozdobiony. Czasem na kiczce układa się oprócz tego wieniec z kwiatów, sztucznych lub naturalnych, z tyłu zaś zwiesza się na plecy pęk różnobarwnych wstążek.

SPRYTNY WALEK.

KOMEDYJKA W TRZECH AKTACH

przez Kazimierę.

(Dalszy ciąg).

Akt drugi.

(Pokój duży, na śródku stół obstawiony krzeselkami, po prawej stronie sceny mały stoliczek, na nim książki i parę albumów, po lewej przy ścianie mały stolik, przy nim parę krzesetek).

Scena I-sza.

WACIO I ZDZIŚ (wchodzą śmiejąc się).

WACIO.

Umyśliłem sobie wypłatać figła Halince, dopiero to się naśmiejemy.

ZDZIŚ.

Dałbyś pokój, Halinka a raczej panna Halina jest gościem w domu twych rodziców.

WACIO.

To i co szkodzi, zresztą przecież to taka blizka moja kuzynka.

ZDZIŚ.

Więc dla kuzynki można być niegrzecznym?

WACIO (*nieczepiwiwie*).

Dajże pokój, już zaczynasz moralizować, a nie wiem zkąd ci to przyszło, ty, pierwszy zawsze do figłów.

ZDZIŚ.

Figiel figlowi nierówny, zresztą z kolegami, to co innego ale panienek lepiej nie zaczepiać, takie to zaraz obrażające, o byle co noskiem krzywią i przezywają scyzorykami.

WACIO (*z lekceważeniem*).

Bah! scyzoryki, scyzoryki, toż i my nazywamy panienki...

ZDZIŚ (*przerwywając*).

Cicho! cicho! i ściany mają uszy, możnaby sobie narobić biedy, gdyby która usłyszała, dziękuję za ten przysmak.

WACIO.

Nie myślałem, żeś taki tchórz, a uchodzisz za najodważniejszego w całej klasie.

ZDZIŚ.

Ja myślę, mój drogi, że to nie odważni ubliżają słabszym od siebie.

WACIO.

Znów morał, profesorem zostaniesz, ani chybi. Ale kiedyś taki mądry, powiedz mi, co lepsze, scyzoryk czy koza?

ZDZIŚ (*wzruszając ramionami*).

I jedno i drugie nie ma sensu, ty wiesz, że ja nigdy nie pochwalam kolegom tego śmiesznego przezywania.

WACIO.

Wiem, wiem, pamiętam jaką miałeś rozprawę z Jankiem, gdy przechodząc koło panienek z pensyi, zawołał: me...e...e... Ale pocóż i panienki przezywają nas zawsze scyzorykami?

ZDZIŚ.

Gdybyśmy byli grzeczniejsi, to...

WACIO.

A toś się dziś uwziął, żeby mi w niczym nie przyznać racji, no, niech cię tam, powiedz mi lepiej, jak ci się zdaje, czy mój figiel się uda?

ZDZIŚ.

Nie wiem jeszcze, co myślisz zrobić, dotąd nie wtajemniczyłeś mię do tego genialnego, jak sądzę, pomysłu.

WACIO.

Myślałem, żeś ci to już mówił. Otóż, temu już chyba nie zaprzeczysz, wiesz dobrze jak i ja, że Halinka jest panienką niegrzeczną, zarozumiałą i pyszną do śmieszności...

ZDZIŚ (*przerwywając*).

Jak na kuzyna, dość umiarkowane określenie.

WACIO.

Ależ, mój drogi, nie przesadzaj i nie broń tego, co obrony nie warte. Halinka i tobie nieraz ubliżyła i względem ciebie była niegrzeczną.

ZDZIŚ.

Nie pamiętam jęj tego, jak będzie starsza...

WACIO (*przerwywając*).

Będzie mądrzejsza, o czém wolno wątpić, ma już przecież skończonych lat trzynaście. Chcę ją trochę nauczyć rozumu, czyli dać jęj maleńkie lekarstwo na pozbycie się zarozumiałości, pychy i niegrzecności.

ZDZIŚ (*kręcąc głową*).

Ho ho, panie doktorze, niech tylko doza będzie umiarkowana i środki łagodne, żebyś czasem, zamiast uleczyć, nie sprowadził czwartęj jakiej choroby. No, ale cóż to za lekarstwo?

WACIO.

Pamiętasz pewnie, jak Halinka ciągle się popisowała w niedzielę przy tych panienkach z sąsiedztwa swoją francuszczyzną, jak opowiadała, że mówi wybornie po niemiecku, że zna język angielski i tak się zapędziła, że wspomniała, jako



Dziewczę ukraińskie (str. 44).

rzecz zwyczajną, że i po grecku mówi, choć ją Jadwinia trącała nieznacznie.

ZDZIŚ.

I cóż ci to szkodzi?

WACIO.

Paradny jesteś! Przecież to moja kuzynka, więc nie chcę, aby ją ludzie palcami pokazywali. Otóż tedy, kiedy taka mądra, napisałem list po angielsku...

ZDZIŚ (*przerzuwając*).

Ty, po angielsku?

WACIO.

Ale czekajże, nie dasz mi mówić; napisałem tedy po angielsku. Pożyczyłem od Romana książki, wiesz, że on mówi tym językiem wybornie, wypisałem z niej, co znalazłem na pierwszój zaraz stronicy, zaadresowałem sam nie wiem jak i co, bo tylko imię i nazwisko Halinki przeczytać można, no i ten list Walek jój odda, gdy będziemy siedzieli dziś przy podwieczorku. Mamy mieć gości, będą to same panienki i Roman, mamy się bowiem umawiać co do tego teatru amatorskiego.

ZDZIŚ.

A toś się rozgadał, no i cóż jeszcze?

WACIO.

Łatwo się domyśleć; Halinka po angielsku nie a nie nie umie, zawstydzi się okropnie, ja się będę śmiał, ty mi pomożesz, Roman także.

ZDZIŚ.

Umywam od tego ręce.

WACIO.

A to dla czego? ślicznie, a ja głównie za ciebie pragnę się zemścić. Halinka wie, że ty nie znasz obcych języków, zawsze jednak przy tobie zaczyna paplać bezustannie, to po francuzku, to po niemiecku, istna papuga.

ZDZIŚ.

Co mi to szkodzi, przecież twoje siostry odpowiadają jój zawsze po polsku i nigdy w mém towarzystwie nie używają obcego języka.

WACIO.

Jeszcze też tego brakuje, żeby moje siostry były tak nie-delikatne, i to w swoim domu. Zresztą, mój drogi, nasz ojciec powiada, że znać i umieć powinniśmy tyle obcych języków, ile ich mamy sposobność nauczyć się; ale czy w domu, czy na ulicy, czy w towarzystwie, obowiązkiem naszym mówić po polsku, niewolno nam zapierać się swojej narodowości.

ZDZIŚ.

Święte słowa twego ojca, a nasz język tak piękny, że nie mamy potrzeby wstydzić się go. Ale z tém wszystkiém, daj pokój twój kuzynce.

WACIO.

Ze nie, to nie, już ten list musi odebrać. Jak ci się zdaje, czy Walek dobrze się z polecenia wywiąże?

ZDZIŚ.

Bardzo wątpię, ten twój Walek... niech ci to jednak nie ubliża, ale on więcej niż... gapiowaty.

WACIO.

I ty na niego! a to chyba wszyscy w zмовie, a ja ci powiadam, że on się wyrobi. Paweł co prawda na niego narzeka, ojciec też mówił, że on nie na lokaja, ale w końcu dał się uprosić i wziął go do kredensu. Zobaczysz, jak on się sprawi; zresztą przecież niewielka historia.

ZDZIŚ.

Niby niewielka, ale...

WACIO (*z gniewem*).

Ale, ale, ty zawsze wymyślisz jakieś ale.

ZDZIŚ.

Wierzaj mi, Wacku, że z tego wyniknie jakieś kapitalne głupstwo i będzie wstyd, ale może nie dla Halinki.

WACIO.

To się bardzo mylisz, a teraz zawołam Walka, rozpówiem mu wszystko i zobaczysz, jak odrazu zrozumie, ho ho!

ZDZIŚ.

Co ci też do tego, alboż нема rodziców?

WACIO.

Jakto, co mi do tego? wszystkich nas obchodzić powinno,

gdy jedno źle robi, ojciec tak mówi; ale muszę już raz zawołać Walka, bo naszój sprzeczce nie będzie końca (*otwiera drzwi i woła głośno*.) Walek! Walek!

Scena II-ga.

ZDZIŚ, WACIO, WALEK.

WALEK (*wbiega prędko na środek pokoju*).

La Boga! a toż lecę co tchu (*sposstrzega Wacia*) a, to panie tak ksycy, az mi nogi zadygotały; o rety! myślałem, co to Paweł tak wszescy. A co tam panie chce znowuj?

WACIO (*zakłopotany, spogląda z boku na Zdzisia*).

Niepotrzebnie tyle mówisz, przyjdź, stań przy drzwiach i powiedz: słucham pana.

WALEK (*uraca się, zamyka drzwi, które zostawił otwarte i opiera się o nie plecami*).

No, słucham pana.

WACIO.

„No” wcale niepotrzebne, rozumiesz?

WALEK (*drapiąc się w głowę*).

Jużci rozumiem.

WACIO.

Stój prosto, nie opieraj się o drzwi i nie drap się w głowę, kiedy ze mną mówisz. Rozumiesz?

WALEK (*prostując się powoli*).

A dyć rozumiem, la Boga, co ni mam rozumieć, niech ino panie raz gada, co chce, bo tam robota ceka.

WACIO (*niecierpliwie*).

Nie mów tak dużo, tylko słuchaj.

WALEK.

Toć słucham.

WACIO (*mówiąc powoli*).

Powiedz mi, czy pamiętasz, co ci mówiłem dziś rano, jak przyniosłeś ubranie?

WALEK.

A bogać, panie mówił, coby psom dać żryć...

WACIO (*przerzuwając*).

Osieł! (*miarkując się*) ależ, gapiu, nie o psach mówiłem, tylko o liście.

WALEK (*przestępując z nogi na nogę*).

Liście... liście... panie bodaj nie gadoł, coby im dawał liście, ino baranie nóżki, boć to pseż urazy nie wiepsaki.

WACIO (*wybuchając*).

Baran jesteś! nie o psach ani liściach tu mowa; mówiłem ci przecie wyraźnie, że jak będziemy siedzieli przy podwieczorku, przyjdiesz i oddasz list pannie Halinie.

WALEK (*powoli*).

Aha... no, tera rozumie.

WACIO.

Przecie! Więc oddasz list i powiesz, że go przyniósł jakiś posłaniec. To tylko tak dla żartu.

WALEK.

No jużci.

WACIO.

A jak się zapytają zkąd, to powiesz, że nie wiesz, bo nie chciał powiedzieć.

WALEK.

A jak powi, to co?

WACIO.

Kto jak powie?

WALEK.

A ten ci posłaniec?

WACIO.

Ale posłańca żadnego nie będzie, toż ci już raz mówiłem, to ja ci list dam, a ty go oddasz pannie Halinie; wiesz teraz?

WALEK.

Jużci wiem, jak mi panie powiedział.

WACIO.

Więc choćby pytali, nie powiesz, że to ja ci ten list dałem pamiętaj, żebyś nie powiedział.

WALEK.

O la Boga! co mam gadać? powiem, co panie psykazał, aby nie pojdzic, to i nie bedo pytać psiecie.

WACIO (*żywo*).

Komu to powiesz, co?

WALEK.

Bogać komu, ino panience Hamilce, niech się ta panie nie turbuje, już ja się sprawie galanto.

ZDZIŚ (*śmiejąc się*).

Sprytny Walek, ani słowa, znasz się widzę na ludziach wybornie. Co to będzie za służący!

WACIO (*z uporem*).

Wyrobi się, zobaczysz, przekonam wszystkich, że go wyuczę. No, trochę trzeba będzie cierpliwości, to prawda, ale na swoim postawię.

ZDZIŚ.

Ja myślę, że i dużo cierpliwości nie wystarczy, nie tylko trochę.

WACIO (*tłumiąc gniew*).

Zobaczymy (*do Walka*). Słuchaj uważnie, mój Walku, bo póki jestem dobry to dobry, ale jak się rozgniewam, to uszy będą w robocie.

WALEK (*obojętnie*).

A niech ta bedo, niech je sobie panie raz poobrywa, to Paweł nie będzie się miał nad cem znęcać.

ZDZIŚ (*śmiejąc się*).

Dobrze ci radzi, masz sobie uszy poobrywać, żeby Pawłowi pracy oszczędzić.

WACIO.

Mój Zdzisiu, macisz mu tylko w głowie.

ZDZIŚ (*który od początku rozmowy z Walkiem siedział przy stoliku z książkami, bierze jedną i zaczyna czytać*).

Dobrze, już ani słówka nie powiem.

(*d. c. n.*)

ZIEMIA OGNISTA.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW NA MORZU I LĄDZIE.

przez **Mayne-Reid'a**.

(Dalszy ciąg).

„Jestem na morzu, jestem żeglarzem, teraz wiesz już wszystko. Gdybym ci był wyznał, kiedy mam zamiar dom opuścić i do którego portu zmierzam, byłabyś wszelkich spobów użyła, aby mi w tym przeszkodzić. Wszystko więc byłoby spełzło na niczem. Widzisz sama, że musiałem to zrobić w tajemnicy, oto jest moje tłumaczenie. Jeśli ci się wyda niedostateczne, jeśli mi nie wyjedna twego przebaczenia, pomysł, mateczko droga, jaka to ciężka kara dla mnie, że muszę kraj opuścić, nie pożegnawszy się z tobą!... Ja wprowadzić zegnałem cię w duszy, a tyś się nawet nie domyślała, gdm cię uściskał we środe wieczorem na dobranoc, jak trudno mi było od łez się powstrzymać!... Wiedziałem, że nie prędko będę miał szczęście obaczyć znowu twój ukochaną. Wiedziałem, że te oczy, którymi tak tkliwie na mnie patrzałaś, wkrótce z mego powodu łzami się zaleją... Ale nie mogło być inaczej, mateczko droga. Postanowiłem zistać żeglarzem i wytrwam w tym postanowieniu”.

„Dotychczas szczęście mi sprzyja, zaraz po przybyciu do portu Portsmouth udało mi się zaciągnąć do załogi okrętu amerykańskiego. Zdziwił się może, że nie wybrałem angielskiego statku. Ale najpierw nie miałem wyboru, a potem, jeśli mam prawdę wyznać, przypadek tym razem dobrze mi podobno usłużył. Rodacy moi pełni są uprzedzeń, a różnice towarzyskie tak wielkie mają u nich znaczenie, że nigdy na okręcie angielskim nie byłbym dopuszczony do takiej poufałości z kapitanem i jego rodziną. Wyobraź sobie, mateczko, że ja, prosty uczeń okrętowy, obiadowałem wczoraj przy stole mojego dowódcy, w towarzystwie żony jego, córki i syna. Czy widział kto co podobnego na statku angielskim? Z pewnością nie. A jednak takie dobre traktowanie ma także swoją wartość”.

„Wspomniałem o żonie i córce kapitana, a ty się dziwisz zapewne, mateczko, i pytasz, z kąd one się wzięły na okręcie? Otóż i to także należy do zwyczajów amerykańskich. U nas uważano by to za coś nadzwyczajnego, a przynajmniej wyjątkowego, u Yankesów jest to rzecz najprostsza w świecie. Nasz kapitan, który jest zarazem współwłaścicielem okrętu, zabiera zawsze z sobą żonę na morze. Córka jego Madzia urodziła się na okręcie, dziś ma dopiero lat piętnaście, a już objechała ziemię dokoła. Syn jego Ned, o rok odemnie starszy, na łodzi wprowadził przyszedł na świat, lecz od lat dwunastu należy już do załogi okrętowej. Niedziw więc, że tak młodo dosłużył się stopnia porucznika, taki bowiem urząd zajmuje pod zwierzchnictwem ojca. Jest to zresztą chłopak nieoszacowany, pokochałem go serdecznie, jemu też głównie zawdzięczam, iż bez wielkich trudności przyjęty zostałem do służby”.

„Załoga nasza składa się z dwudziestu ludzi, licząc w to i starszyznę, to jest sternika i starszego cieślę. Są to dwaj ludzie dosyć osobliwi, a jak mi się zdaje, bardzo zacni i poczciwi. Sternik Lyons stał się ponury i milczący w skutek ustawicznych podróży, a może to jest u niego usposobienie wrodzone. Nigdy ani jednym słówkiem się nie odzywa, tylko wówczas usta otwiera, gdy wydaje rozkazy, lub ostro a dobitnie wyraża niezadowolenie swoje, jeżeli te rozkazy nie są należycie spełnione. Ma jednak w oczach moich wielką cnotę: jest sprawiedliwy, od każdego z podwładnych wymaga tylko tego, co stanowi jego powinność”.

„Seagriff, starszy cieśla, jest to osobistość całkiem innego rodzaju, zdaje się, że dużo o sobie trzyma. Obowiązkiem jego jest czuwanie nad całością okrętu, staranne opatrywanie wszystkich jego części i naprawianie uszkodzeń. On jednak do wszystkiego się miesza, wszędzie swoje słówko wścibi, bo mu się zdaje, że się zna lepiej od innych na każdej rzeczy. Ma też poniekąd i prawo do tego, gdyż od lat trzydziestu jest w służbie morskiej, musiał więc nabyć dużo doświadczenia, które częstokroć w rzeczy samej zastąpić może nawet i naukowe uzdolnienie. Nie sądzę jednak, aby każdy kapitan był na to tak pobłażliwy, jak nasz i pozwalał staremu podnosić głos przy każdej naradzie, i z nieproszonym zdaniem występować. Już to na statku angielskim nie usłoby mu to z pewnością. Widocznie jednak nasz kapitan ma w tym swoje powody, że znosi cierpliwie gadulstwo Seagriffa; może nie zważa na nie, a może naprawdę stary cieśla udziela mu rad szacownych. To pewna, że ten Seagriff rządzi tu wszystkim na okręcie”.

„Ja jestem daleko młodszy od wszystkich innych majtków. Każdy z moich kolegów ma przynajmniej lat dziesięć lub dwanaście więcej odemnie. Dla tego też może z żadnym się dotychczas nie zaprzyjaźniłem, chociaż ze wszystkimi żyję w zgodzie i w najlepszych stosunkach. Wspomniałem ci już, droga mateczko, że Ned Ganey, syn kapitana, okazuje mi wiele życzliwości; jest on ze mną w jednym wieku, co nas wzajemnie do siebie zbliżyło. Ned przyrzekł mi dopomódz wszelkimi siłami, abym mógł prędko nabyć gruntownych wiadomości w sztuce marynarskiej; pożyczca mi swoich książek i już mię nauczył obchodzić się z niektórymi narzędziami żeglarskimi”.

„Widzisz więc, droga mateczko, że nie tracę czasu i wcale nie myślę na całe życie zostać prostym majtkiem. Będę pracował gorliwie, przygotuję się do egzaminów, abym mógł jak najprędzej otrzymać stopień oficera, a później i kapitana okrętu. Czy to jeden rozpoczął swój zawód na takim skromnym stanowisku, jak ja, a jednak z czasem zaszedł wysooko. Czemużby i mnie nie miało się poszczęścić podobnie? Na to potrzeba tylko sprzyjających okoliczności. Gdyby tak naprzykład wojna wybuchła, a ja bym ze stopniem oficera dostał się na statek rządowy; cóż wówczas niepodobnego, abym się odznaczył i mianowany został kapitanem, ba! może i admirałem. Tożby wówczas mateczko dumną była ze swego chłopaka, nieprawdaż? A Emilcia kochana, czyżby się nie cieszyła, gdyby tak kiedyś młody oficer marynarki, rodzony jej braciszek, przeszedł się z nią pod rękę po ulicach

naszej wioski?... Coś mi się zdaje, że wtenczas nawet i ojcuzlek wybaczyłby mi awanturczą moją wyprawę”...

„Ach, mateczko! Staram się to w żart obrócić, a ledwo od łez powstrzymać się mogę. Szczerze ci się przyznam, że to jedno mnie tylko martwi i niepokoi. Czasami zdaje mi się, iż nic dobrego wyniknąć nie może z przedsięwzięcia, które sprzeciwia się woli ojca. To też błagam cię gorąco, mateczko kochana, wstaw się za mną, powiedz ojcu, że jakkolwiek nie mogłem się oprzeć prawdziwemu powołaniu, nigdy jednak nie będę spokojny, póki nie otrzymam od niego życziwego słówka. Okręt Kalypso popłynie teraz do Nowego Yorku, staniemy tam za pięć tygodni i parę miesięcy zabawimy. Statki pocztowe zdążą daleko prędzej od nas. O! jakżeby był szczęśliwy, gdybym zastał w Nowym Yorku list od ciebie, mateczko i od Emilci, a w tym liście kilka słów tylko od ojca, na przykład: *Ściskam cię, chłopcze i życzę ci powodzenia w twych zamysłach.* O! gdyby się to pragnienie moje ziściło, nicby już do szczęścia mego nie brakowało”.

„Bywaj zdrowa, droga mateczko, uściskaj ojca odemnie, uściskaj Emilcię; przywiezę jej z Oceanii przesłizny naszyjnik z muszel. Ojcuzka upewnij, mateczko, że z pokorą przyjmę jego napomnienia i nigdy go szanować i kochać nie przestanę, choćby się okazał nieprześląganym. A ty, mateczko ukochana, bądź pewna, że syn twój, czy to na spoczynek się udając, czy zrywając się ze świtem do ciężkiej pracy, zawsze myśl swoją pierwszą i ostatnią zwróci ku tobie. O, wierzaj mi, najstraszniejszy to dla mnie wyrzut sumienia i troska największa, iż opuszczając dom rodzinny, nie mogłem cię prosić o błogosławieństwo. Nieustannie też będę błagał Boga, aby mi pozwolił jaknajprędzej upaść do nóg twoich”.

„kochający syn
Henryk Chester”.

V.

W pięć lat później.

Pięć lat upłynęło.

Nadzieje, o których Henryk Chester pisał w liście do matki, ziściły się w części przynajmniej; niestrudzona praca, wytrwałe, nieustanne usiłowania, doprowadziły go do tego, iż poznał gruntownie rzemiosło marynarza i dosłużył się stopnia oficera. Kapitan Ganey zupełną ufność w nim pokładał, a Ned był zawsze serdecznym jego przyjaciелеm. Madzia przywykła uważać go jakby za drugiego brata, pani Ganey traktowała go jak syna. Ten statek, unoszący po niezmiernych nurtach oceanu tak zgodną, kochającą się rodzinę, był prawdziwym przybytkiem szczęścia. Czuli to kapitan i nieraz powtarzał:

— Jesteśmy zanadto szczęśliwi; to nie może trwać zawsze, obawiam się, abyśmy tego nie opłacili jakąś klęską.

Wówczas żona i córka przytulały się do niego i mówiły:

— Ta myśl, iż podzielimy z tobą wszystkie niebezpieczeństwa, jest już niemalą dla nas ulgą i pociechą.

A kapitan Ganey przyznawał im słuszność, bo jeśli w rzeczy samej czekały go cięższe chwile, dziś przynajmniej zażywał szczęścia w całej pełni, nie był osamotniony, rozłączony z najbliższymi, jak to bywa zazwyczaj na morzu.

Co do Henryka, ten był zupełnie zadowolony ze swego zawodu. Z początku szło mu bardzo ciężko, rzemiosło mary-

narza nie jest wcale zabawką, zwłaszcza na takim statku, gdzie załoga ze względów oszczędności musi być nieliczna. Lecz trudy te wynagrodzone były sowicie, gdyż młodzieniec znalazł na tym okręcie opiekę, pomoc i przyjaźń serdeczną; ułatwiono mu tu naukę wszelkimi sposobami, wskazano środki dojścia do upragnionego celu. Otrzymałszy stopień oficera, Henryk mógł z czasem i kapitanem zostać; marzenia jego sięgały wysoko, chociaż ukrywał je starannie w głębi duszy, młodzieniec nasz zamyślał pozyskać kiedyś rączkę młodej Madzi i zabrać ją na własny okręt.

Do ziszczenia tych marzeń brakowało jeszcze dużo; najpierw potrzeba było zostać kapitanem, a następnie zdobyć majątek i stać się współwłaścicielem jakiegoś kupieckiego statku, to jest stanąć na takim samym stanowisku, jakie zajmował ojciec tej panienci.

Oczekując spełnienia świetnych tych nadziei, Henryk gorliwie pracował i nie zaniedbywał swoich powinności. Przywykł on bardzo prędko do morza, a spędzając długie noce na pomoście, gdy kolój czuwania na niego przypadła, zachwycał się widokiem gwiazdzistego nieba, przysłuchiwał się z upodobaniem odgłosom fal szumiących, wiatru, który kołysał maszty i żagle rozdymał, a nawet dzika wspaniałość burzy nęciła go swoim urokiem.

(d. c. n.)

HOMONIMY (M. P.).

Przyinkiem jestem, lub wiosennym kwiatem.
Jak się nazywam? powiedźcież mi zatem.

Czarodziejska sztuczka.

(Gołąb z nad Warty).

~~Kobas~~ — ~~ka~~ — zaródek — pasek. — Odjąć zwierzę, ptaka i robotnika, a zostanie stowarzyszenie religijne.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 4-go.

Szarady:

Cie - trze -- wie.

Łamigłównki głoskowej:

	M	a	k
	K	a	r
	a	r	a
M	a	t	a
	p	a	n
	B	a	r
	a	r	a
	L	a	k

TREŚĆ: Sprawozdanie Kazia z zadania konkursowego, — Sierotka, wiersz p. Helenę Bojarską. — Prawdziwe bogactwo, powieść przez autorkę Reginki (c. d.). — Dzieweczka ukraińska (z drzew.). — Sprytny Walek komedyjka w trzech aktach p. Kazimierę. — Ziemia ognista, przygody podróżników na morzu i lądzie przez MayneReid'a (c. d.). — Łamigłównki i rozwiązania. W Dodatku: Mazgaj, (z drzew.) — Dla dzieci, wierszyk, p. M. Z. — Pierwszy śnieg, p. Adę. — Przygody nieposłusznej Adelci, tłumaczyła z angielskiego L. T. — Łamigłównka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Przygody młodego chłopca w szkołach, z francuzkiego.



Mazgaj.

MAZGAJ.

Patrzcie, co to za mazgaj z tego Stefka. Rzucił książkę o ziemię i na głos płacze, sam nie wie, czego. Siostrzyczka młodsza, a daleko grzeczniejsza. Chciałaby mu dogodzić, zabawić go, podaje mu swoje własne jabłuszko. Ale Stefek nie chce patrzeć na jabłuszko i wciąż buczy. Siostrzyczka schowała za siebie laleczkę, bo wie, że rozgrymaszony braciszek gotów ją porwać i rzucić tak samo, jak książeczkę. Kotek Maciuś siedzi na stołeczku i spogląda zdziwiony na Stefka.

DLA DZIATEK.

Pod biegunem północnym, gdzie lodowe góry
Wznoszą białawe szczyty aż pod ciemne chmury,
Gdzie, prócz morskich potworów, tylko bezdnia głucha

Istnieje, ale niema w niej ludzkiego ducha...
Zabłąkała się łódka, na niej rybak młody.
Zdziwiły się zuchwalstwu człowieczemu lody,
I jękiem dzikięj burzy zahuczą pustynie:
— Poco wchodzisz tu, prochu! kto ujrzy nas, zginie!
A na to rzecze rybak, patrząc w wodną szybę:
— Ja tu dla moich dzieciak muszę łowić rybę.

M. Z.

PIERWSZY ŚNIEG.

— Wstawaj, Stasiu, wstawaj prędej! Patrz, śnieg
pada, o! jak biało! Będzie sanna! pobawimy się w gałki śniegowe!

Tak mówiła pięcioletnia Andzia, stojąc koło łóżka
braciszka, śpiącego jeszcze w najlepsze. Usłyszawszy

jednak tak ważną nowinę, chłopczyk żwawo wyskoczył z łóżecka i podbiegł do okna.

Dzieci te chowały się na wsi, wiejskie, zimowe rozrywki nie były im obce, witały więc wczesny śnieg z upragnieniem.

— Kiedyż my pójdziemy lepić bałwana? — pytał chłopiec.

— Poczekaj, aż więcej śniegu spadnie.

— Czyż go nie dosyć?

— Dosyć, ale niania mówi, że jeszcze miękki, nie można nic z niego ulepić, bo się w rękę rozplynie.

— Ale jutro, to już chyba będzie śnieg lepszy, nieprawdaż?

— Ach te dzieciaki! — ozwał się za nimi głos stariej piastunki — któż słyszał boso, wprost z łóżka podchodzić do okna? chcecie się zaziębić i chorować? — gderała staruszka, zaganiając dzieci do łóżecek.

— Nie gniewajcie się, nianiu — mówiła śmiejąc się Andzia — wczoraj tatko mówił przy herbacie: jutro pewno będzie śnieg; o toż ledwom się obudziła, przyszło mi na myśl zajrzeć w okno, by śnieg zobaczyć, a ujrawszy go, zawołałam i Stasia, żeby i on się cieszył widokiem śniegu.

— Dobrze już, dobrze — mówiła Janowa oswobadzając się z uścisków dziewczynki — siedź grzecznie, to cię prędkiej ubiorę.

Dzieci poczęły się żwawo ubierać przy pomocy piastunki, która ich mamę jeszcze wypiautowała. Mama już od lat trzech umarła, Janowa więc całą swą miłość przełała na sierotki.

Ubrane i starannie uczesane dzieci weszły do jadalnego pokoju, gdzie na nie ojciec już czekał.

— Tatku, widziałeś śnieg? — pytały dzieci, witając ojca.

— A jakże, widziałem. Wypijcie mleko, potem pobiegacie po dworze.

Ucieszone dzieci prędko załatwiły się ze śniadaniem, włożyły szubki i dalej na dziedziniec. Rzucaly na siebie gałki śniegu tak długo, aż Staś począł wołać:

— Dosyć, Andziu, dosyć! patrz, jakem zmokł, pełno mam śniegu za kołnierzem.

— To nic, prędko wyschnie — odrzekła rezolutna siostrzyczka — a teraz chodźmy zobaczyć, czy sadzawka nie zamarzła.

I pobiegli do ogrodu ku sadzawce, której brzegi tylko były ścięte.

— Szkoda — rzekła Andzia — a ja myślałam, że już można będzie się ślizgać.

— Szkoda — powtórzył Staś — i kiedyż będzie ślizgawka?

— Wtedy, gdy woda zamarźnie — odrzekła z powagą siostrzyczka — a teraz chodźmy zobaczyć, co Tatar porabia, czy i on cieszy się śniegiem, jak my.

Tatar, wielki pies podwórzowy, faworyt dzieci, spał spokojnie w swój budzie, czém okazywał, iż go śnieg nic nie obchodzi. Dzieci obiegly dziedziniec, zajrzały do stajni i obory, w końcu zmęczone wróciły do domu.

Pod wieczór spadło więcej śniegu, na noc mróz się wzmógł i nazajutrz Janowa nie pozwoliła dzieciom tak

wczesnie wychodzić. Smutnie posiadały przy oknie, wyglądając promieni słonka dla ogrzania powietrza. Około południa wiatr rozpędził ołowiane chmury i biały całun śniegowy zaokrążył się brylantami pod słonecznym blaskiem.

— Teraz, dzieci moje, możecie się przejść — powiedział ojciec — ubierzcie się ciepło, bawcie się na słońcu i nie chodźcie do sadzawki, bo lód jeszcze słaby.

Ciepło ubrane dzieci wybiegły na dziedziniec i poczęły zgarniać w jeden nasyp śnieg, by z niego bałwana ulepić. Wszystkie ich starania były jednak daremne.

— Wiesz co, Stasiu — zaczęła Andzia, widząc, iż nie tak łatwo lepić figury ze śniegu, jak to myślała, a nie chcąc się zdradzić przed braciszkiem z niezręcznością — chodźmy do Jóźka, to nam da fajkę swego ojca, żeby nasz człowiek śniegowy miał co palić.

Staś, zgodny chłopczyzna, pomyślał, iż warto wpieryć zrobić głowę, niż biedz po fajkę, ale nie powiedział nic i oboje poszli do Jóźka, syna stangreta; Józiek i fajki pozyczył, i pomógł zrobić olbrzyma ze śniegu: dwa węgle przedstawiały oczy, w ustach tkwiła fajka, a w ręku miotła. Nacieszywszy się swém arcydziełem, dzieci poczęły się naradzać nad nową zabawą.

— Chodźmy na sadzawkę — proponował Józiek.

— Tatko zabronił — śpiesznie odparł Staś.

— Przecież się ślizgać nie będziemy, a popatrzeć można — zauważyła Andzia. I poszli do ogrodu.

— Jak ci się zdaje, Jóźku, czy lód mocny? — pytała Andzia.

— Jeszczeby nie był mocny na taki mróz! zresztą spróbuję.

— Nie chodź, o nie chodź! — zawołał Staś przerażony — nie chodź, bo wpadniesz w wodę!

Ale Józiek nie zwracał uwagi na przestrożę małej panienki go spojrzaniem: jej samą chciałoby się przejść po lodzie, nie miała jednak odwagi pójść pierwsza. Józiek ostrożnie stąpał po gładkiem, lodowém zwierciadle.

— Lód mocny, panienko, niema się czego obawiać.

I panienka poszła za jego przykładem, pomimo prośb stojącego na brzegu Stasia.

— Oj ty tchórze! chodźże tu do mnie — wołała dziewczynka.

W tej chwili rozległ się okropny trzask i okrzyk przerażenia; płaczący Staś wstrząsł się cały i spojrział na sadzawkę... nikogo na niej nie było.

— Andziu! Andziu! — począł wołać, ale zamiast odpowiedzi usłyszał tylko głuchy jęk z pod wody. Zdjęty strachem chłopczyzna, puścił się ku domowi, wołając:

— Tatku! nianiu! Andzia się topi, utopiła się! prędkiej!

Ogrodnik, zajęty pracą w oranżeryi, pierwszy usłyszał wołanie chłopczyka, i wzięwszy z sobą grubego i długiego postronka, pobiegł ku sadzawce. Ostrożnie nachylił się nad przerębem, w który wpadły dzieci. Rzucił postronka w otwór i zawołał głośno:

— Józiek! chwytaj za postronka i wychodź! ja Andziulkę wyciągnę! Ale przytomny Józiek silnie trzymał jedną ręką dziewczynkę i ani na chwilę jej nie

wypuścił; drugą ręką chwycił za postronek, opasał się nim kilkakrotnie wraz ze swym ciężarem, poczem krzyknął głucho: ciągnąć! — Po chwili ogrodnik wyciągnął na brzeg oboje. Jednocześnie nadbiegł ojciec ze Stasiem, a za nimi głośno zawodząca Janowa.

Andzię natychmiast przyniesiono do domu, rozebrano i ułożono w łóżeczku, z którego nie prędko powstała. Zaziębienie przyprawiło dziewczynkę o zapalenie płuc i przez kilka tygodni nie wychodziła wcale z ciepłej sypialni, przyczem nudziła się okropnie. Józiek także przypłacił swawolę silnym katarem i karą od ojca, który miał obyczaj za zbytki ćwiczyć syna porządnie, utrzymując, iż nieposlušny chłopiec wart takiego obchodzenia, jak narowny koń. Stasiowi także smutno czas schodził, brakło mu towarzystwa siostrzyczki.

— Ach, żeby to prędzej było ciepło! — wzdychał często — toby już doktor pozwolił Andzi wyjść na powietrze.

Po Nowym Roku dopiero pozwolił doktor Andzi towarzyszyć braciszce w przechadzkach; dzieci znowu biegały po dziedzińcu i ogrodzie, ale na sadzawkę i parterce nie chciały, tak im obrzydła.

Ada.

Przygody nieposlušnej Adelci,

TRÓMACZYKA Z ANGIELSKIEGO L. T.

(Dalszy ciąg).

— O, Edziu, jakżeś mógł nas tak przestraszyć! — rzekła Ewcia.

— Tak, przecież i ja się przeląknęłam — odparł Edzio.

— Cóżś słyszał? — spytała Kostusia.

— Jakiś szmer za altanką, a potem jakby westchnienie; o! znowu to samo.

— Ech, zdaje ci się — rzekła Ewcia — to wiatr poruszył gałązkami, mówmy lepiej o czém inném; Henrysiu, może chcesz, żebym cię odprowadziła do panny Emilii, bo widzę, że się boisz?

Henryś, przestraszony słowami Edzia, chętnie się na to zgodził i Ewcia wyszła z nim, zapewniając, że zaraz powróci.

— To dziwne, żeście nic nie słyszały — rzekł Edzio po ich odejściu — z pewnością słyszałam jakiś szmer i to nawet dwa razy. Mam ochotę zobaczyć, czy niema kogo za altanką; muszę to zrobić koniecznie, jeżeli te westchnienia się powtórzą.

— Czyście przedtém nie widzieli téj dziewczynki? — zapytała Kostunia.

— Owszem, gdyśmy się bawili na wybrzeżu dziś rano, przyszła do nas, przyglądała się nam dość długo, a potem zapytała Ewci, czyby się nie mogła bawić z nami. Czy to nie dziwne?

Kostusia się zastanowiła.

— O czém myślisz? — spytał Edzio.

— O tém, coś mi powiedział — odparła i dodała półgłosem, jakby mówiąc do siebie — tak, to musi być Adelcia.

— Jaka Adelcia? — zagadnął Edzio.

— Moja siostrzyczka.

— Twoja siostrzyczka? — wykrzyknął chłopczyk, otwierając oczy szeroko.

— Jeżeli to ta dziewczynka, co rozmawiała z wami na wybrzeżu, to Adelcia — rzekła Kostusia i zatrzymała się, żałując, że zdradziła siostrę.

Ale Edzio dopytywał się dalej:

— Czy to Adelcia chciała się z nami bawić dziś rano? Kostusia zawahała się, ale potem odpowiedziała:

— Tak.

— Dlaczegoś nam tego pierwój nie powiedziała?

— Bo nie lubię robić plotek.

Edzio zdziwiony zamilkł; po chwili jednak wybuchnął głośnym śmiechem.

— A myśmy myśleli, że to waryatka, albo upiór jaki, tyś nawet powiedziała, że to może waryatka; och, Kostusiu, ani się domyślałaś, żeś to mówiła o swojej własnej siostrzyczce! Chodźmy powiedzieć to Ewci! Dopiero się uśmieje!

I wybiegł, a za nim podążyła Kostusia.

Biedna Adelcia siedziała tymczasem za altanką, słysząc wszystko, co dzieci o niej mówiły. Siedziała bardzo niewygodnie, a nie mogła się nawet poprawić, bo każde jej poruszenie zwracało uwagę Edzia. Bolesnie jej było słyszeć, że dzieci nazywają ją „niegrzeczną” coż dopiero, gdy zaczęli o niej mówić, jako o waryatce. Gorące łzy płynęły jej po twarzy, z trudem wstrzymywała łkanie i byłaby się może wydała, gdyby nie nagłe odejście Edzia i Kostusi.

Przedostała się znowu przez otwór do altanki i pobiegła ku bramie ogrodu; była już blisko bramy, gdy usłyszała jakieś krzyki za sobą i oglądając się, ujrzała, że dzieci te ją goniły. Wołały, żeby się zatrzymała, Adelci jednak zdawało się, że się z niej śmieją, biegła więc dalej, płacząc i wzdychając. Szczęściem dla niej, furtka była otwarta, wybiegła więc z ogrodu, zatrzasnąwszy bramkę za sobą i wpadła na ulicę, nie widząc nadjeżdżającego powozu. Stangret wołał, żeby się usunęła, tymczasem nóżka jej się potknęła i upadła tuż przed końmi. Dzieci w ogrodzie krzyknęły, konie, jakkolwiek z trudem, wstrzymano; jakiś pan wyskoczył z powozu, porwał Adelcię na ręce i zaniósł do domu. Był to jej ojciec. Wszystko to stało się tak prędko, że Adelcia nie mogła zrozumieć, dla czego ojciec tak się o nią przeląknął, tak ją starannie układał na sofie, wypytyjąc, co jej się stało, co ją boli?

Zapomniała, że z twarzą łzami zalaną, podrapana i pokrawiona, w rozdartój sukience, każdego mogła przestraszyć.

Ojciec, widząc ją w tém stanie, myślał, że konie ją uderzyły, lub że się potłukła, padając na kamienie. Naprawdę Adelcia zapewniała, że jej się nic nie stało; matka, Maryanna, które wkrótce nadbiegły, otaczały ją troskliwością.

Dopytywano jej się, dla czego płacze, z kąd pochodzą zadrapania na czole i rękach, a dziewczynka wstydziała się wyznać prawdę przed wszystkimi.

(d. n.)

Łamigłówka głoskowa.
(Od Firletki dla Zegarka).

Długosz — Jagiełło — Guttenberg — Napoleon — Franklin — Lineusz — Kopernik. — Z każdego z tych wyrazów wybrać jedną literę i utworzyć z nich pseudonym jednego z korespondentów „Wieczorów”.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 4-go.

Łamigłówki głoskowej:

Aurykla.

Skrzynka do listów.

Żyrafie. Łamigłówkę zamieścimy, jeśli się okaże bez żadnej myłki. Co do zagadek historycznych, przyjmujemy tylko ich rozwiązanie, zagadki te układane są stale przez jedną osobę, należącą do naszej redakcji.

Świtezianka z nad Bohu jest bardzo uprzejma, że nową Jutrzenkę ustępuje tego ładnego pseudonimu, a sama na Świteziankę się zamienia. Druga Świtezianka, stała nasza korespondentka, nazywa się Marynia, o ile wiemy, jest w tym samym wieku, co i imienniczka jej z nad Bohu. Orzeł Birkut ma rzeczywiście imię wymienione w liściku.

Świtezianie dawniejszej przesyłamy liścik imienniczki.

„Kochana Świtezianko! Zapewne gniewać się nie będziesz, że sobie podobny do twego wybrałam pseudonym. Napisz mi, ile masz rodzeństwa i gdzie mieszkasz. Chciałabym mieć twoją fotografię, ale to być nie może. Donieś mi również, jak się nazywasz i ile masz lat. Ja mam lat 13. Proszę cię bardzo, kochana Świtezianko, żebyś mi odpisała na mój liścik, coby mnie bardzo ucieszyło. Przesyłam ci serdeczne pozdrowienie.

Świtezianka z nad Bohu”.

Brzózce srebrnej donosimy, że przesyłka jej odebrana, od nas też przesyłka wyrusza do Brzózki, jednocześnie z tym N-rem Pisma. Cieszymy się bardzo z obietnicy.

Brzózce z nad Giełczwi przesyłamy liścik imienniczki.

„Brzózka srebrna przesyła pozdrowienie Brzózce z nad Giełczwi i donosi jej, że jest jedynaczką, ma lat 15-eie, nazywa się imieniem jednej z żon Jagiełły. Którę? niech się Brzózka domyśli i doniesie. Ile też lat ma i jak się nazywa Brzózka z nad Giełczwi? czy ma rodzeństwo?”

Franio Gł. w Białymstoku otrzymał już zapewne żądany N-r Pisma i arkusze powieści. Pseudonym, jaki Mama nadała Franiovi, ubawił nas bardzo, nie chcemy go jednak drukować, w nadziei, że Franio niezadługo na inny, ładniejszy zasłuży.

Gołąbka z nad Wolborki zapytuje o Wielisławę i nazywa ją jedyną swoją rówieśniczką w gronku naszych korespondentek. Myli się kochana Gołąbka, nie znamy prawdziwego imienia Wielisławy, bo go nie wyjawiała, lecz mamy dużo czytelniczek piętnastoletnich, a między innymi i tę właśnie Litwinke, o którą zapytuje Gołąbka i która dotąd „Wieczory” czytuje, chociaż dawno się nie odzywa.

Kropelce Rosy dziękujemy za wiadomość, że z takim zajęciem czyta „Prawdziwe bogactwo”, zapewne też dla tego jej się Lenka najwięcej z tych wszystkich panienek podoba, iż wiekiem się do niej zbliża.

Wisience przesyłamy liścik:

„Kochana Wisienko! Bardzo mi się spodobał twój pseudonym, Zapewne jesteś podobna do wisienki. Radabym cię poznać, a ponieważ to być nie może, chciałabym przynajmniej się dowiedzieć.

jak się nazywasz, ile masz lat i ile rodzeństwa? Ja mam lat 11, nazywam się Mania, mam trzech braci, Gucio o rok jest starszy odemnie, Lolo ma dwa lata, a jeden malutki jeszcze nie jest chrzczony. Proszę cię o odpowiedź, twoja

Kropelka Rosy”.

Szczygieł z nad Giełczwi wcale nieźle pisze ptasiemi łapkami, zwłaszcza mu się to chwali, że nie robi myłek i bardzo wyraźne literki stawia.

Kolegów ptaków uprzejmie pozdrawia Szczygieł z nad Giełczwi.

Skrzydlaty Pegaz myli się bardzo, sądząc, że możemy za cośkolwiek rozniewać się na takiego wiernego i miłego nam korespondenta, którego już nawet z fotografii znamy.

Anonim, przezwany Ślepownronem bardzo dobrze robi, że pisze liściki bez pomocy Mamy. Łamigłówka doskonale jest ułożona i wydrukujemy ją niezadługo. Że Mama dopomogła w jej ułożeniu, niema w tém wcale nic nagannego, témbardziej, iż Anonim tak otwarcie się do tego przyznaje.

Dzieciot tym razem zupełnie dobrze ułożył łamigłówkę, więc będzie wydrukowana.

Marya Cz. w Hrubieszowie nie odczytała uważnie warunków zagadki konkursowej i nie dodała, ani pseudonimu, ani lat nie wymieniła, przytém nadzwyczaj dużo omyłek spostrzegłszy w piśmowni chociaż kaligrafia niezła. Trzeba być troszkę uważniejszą; niech nam tej otwartości kochana korespondentka nie bierze za złe, mamy na względzie jej własne dobro.

Mania i Zosia S. z Antonowa zadziwiły nas niezmiernie, powiadają, że na częste liściki nie odbierają nigdy odpowiedzi. Liściki te widocznie nie doszły do nas, bo wszystkim korespondentom zawsze odpowiadamy. Numera Pisma dawniejsze mogą być nabyte w redakcji, o ile się znajdują, gdyż niektóre są wyczerpane; o brakujące, czy też na poczcie zatracone, należy się wcześniej upominać, po upływie roku a témbardziej dłuższego czasu nie możemy ich bezpłatnie wysłać.

Słowiczek warszawski powinienby troszeczkę popracować nad kaligrafią, bo nie jak słowik, lecz jak kurka po piasku grzebie swojemi łapkami; to też i łamigłówki z tego powodu trudne są do odcyfrowania. Cieszymy się bardzo, że doświadczenia fizyczne udają się Słowikowi, będziemy je i w dalszym ciągu zamieszczać.

Staręj przyjaciółce. Myli się szanowna Pani, sądząc, żeśmy nawykli do samych hymnów pochwalnych. Przeciwnie, jeszcze się ten nie urodził, coby wszystkim dogodził, z drugiej strony nie przypisujemy sobie wcale doskonałości; często też spotykają nas różne zarzuty, które uwzględniamy, o ile są słuszne. Do takich zaliczamy i uwagę Pani, mogła Pani jednak spostrzedz, że sami to czujemy i wszelkich możliwych środków używamy, aby złemu zapobiedz. Jeżeli szanowna Pani zna lepsze i skuteczniejsza, prosimy o ich wskazanie, będziemy nieskończenie wdzięczni.

Pani I. Kulczykowskiej w Politankach. „Wieczory Rodzinne” czy dawniejsze czy wychodzące obecnie, są do nabycia po jednej cenie, półroczce przeto kosztuje rs. 2 kop. 50.

Pani Radoszewskiej w Gostkowie. Początek żądanej powieści wysłany.

Panu Kozłowskiemu i Niusi w Kamionce. Początek powieści „Prawdziwe bogactwo” drukowany był w całym ostatnim kwartale, możemy ten kwartał przysłać za ceną zwyczajną rs. 1 kop. 25.

Pani Świdowej w Wołkowyskach. Książki wysłane, pozostało 1 rs. 15 kop. oddaliśmy je według życzenia ubogiemu uczniowi.

Panu Aleksandrowi Kozłowskiemu w Dołhobyczowie. Najlepsze są dla dzieci początkujących podręczniki Jeskego, wydane u Arcta w Lublinie. Mogą być nabyte w każdej księgarni. Co do powieści, prosimy od odczytanie poprzedniej odpowiedzi.

Panu Osowskiemu w Ostrowie. Dziwi nas to, że szanowny Pan prenumerując „Wieczory” nie wie ile kosztują i zapytuje o to, przysyłając obecnie 2 rs. Upraszamy o zwrócenie uwagi na warunki prenumeraty, wydrukowane na każdym Numerze.